

NUMER POJEDYŃCZY 10k.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA N°5
TEL. N° 226-83.

N°

WARSZAWA
DNIA 17 MARCA 1912 R.

13

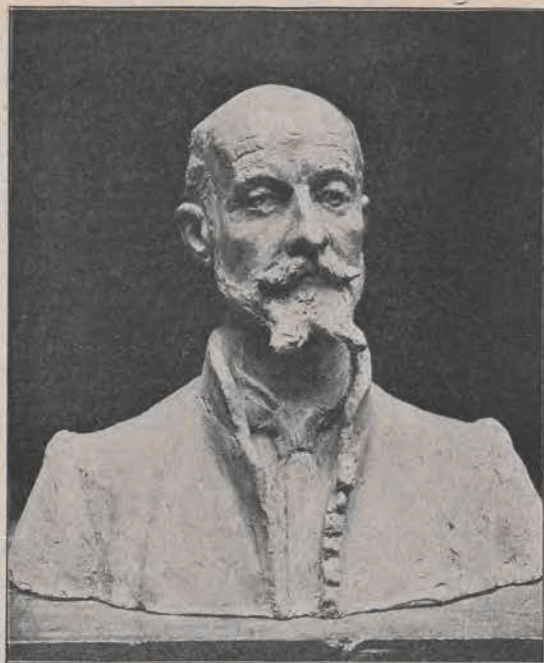


Gustaw Pillati.

(Tow. Z. S. P.).

Pod skrzydłem matki.





Bianca Donati, (T. Z. S. P.) Popiersie Teodora Rygiera.

Teodor Rygier.

W pięćdziesiątą rocznicę pracy artystycznej Teodora Rygiera, Warszawskie Towarzystwo Zachęty do Sztuk Pięknych urządziło wystawę zbiorową prac znakomitego rzeźbiarza — wystawę jubileuszową.

Warszawa uczciła w ten sposób zasługi znanego twórcy pomnika wzniesionego Mickiewiczowi w Krakowie, autora, przechowywanego w Towarzystwie Zachęty „Kopernika“ i wielu innych popularnych i nader wysoko cenionych dzieł rzeźbiarskich, jak medaljon marmurowy Matejki w Muzeum narodowym w Krakowie, lub w temże Muzeum portret Kraszewskiego.

Wystawa zawierała zaledwie część nieznaną z olbrzymiego, półwiekowego dorobku czcigodnego jubilata, gdyż artysta nasz wcześniej bardzo osiedlił się na stałe w Rzymie, tam tworzył, tam też najznacniejsza część prac jego pozostała, lub stamtąd na szeroki świat się rozchodziła. Nie mniej przecież i owa drobna cząstka, jaką się w kraju zebrać udało, jest już plonem znamenitym i mówi dobitnie o stanowisku, jakie artysta nasz zajmuje w dziedzinie sztuki polskiej i ogólnie-europejskiej.

Stanowisko to jest bardzo wysokie i dostojne. Teodor Rygier w szeregu wystawionych prac swoich, jawił się przed nami, jako rzeźbiarz miary niepospolitej, jako artysta poważnie sztuce swojej oddany, jako gorący wielbiciel Piękną i Prawdy, którym służy całą potęgą swego talentu wrodzonego i całym zapasem wysoko udoskonalonych umiejętności zawodowych. Należy on do tego odłamu artystów, których stosunek do sztuki jest niezmiernie prosty, szczerzy i jasny: Rygier stara się rzeźbić dobrze i pięknie.

Podobny światopogląd estetyczny ma tę niesłychaną przewagę nad innymi, że się nie starzeje i istotnie jest zjawiskiem towarzyszącem rozwojowi sztuki niezmiennie obok prądów i kierunków mniej lub bardziej snobistycznych, poddyktowanych przez modę w danej chwili panującą. Jest on światopoglądem wszechczasów i dlatego stanowczo zaprzeczyć należy ażeby przyjmujący wyłączne jego wskazania artysta, — artysta o tak pięknym, prostym i szczerym stosunku do sztuki, mógł być uznany za przedstawiciela kierunku, przeczasiącego.

Rygier, jakkolwiek należy do generacji starszej, jest rzeźbiarzem współczesnym, jak współcześni byłiby Praksyteles, Donatello, Puget i inni wielcy mistrze, gdyby swoje dzieła przyszli wykonać w naszych czasach.

Wartości artystyczne tkwiące w takich utworach, jak w doskonałym, pełnym dosadnej charakterystyki portrecie Juljusza Kossaka, jak w świetnych, realistycznie pojętych głowach Granzowa i Leopolda Kronenberga, jak w idealizowanych biustach niewieściech „Julietty“ i „Poppei“, lub w psychologicznie odczuciem popiersiu Bakałowiczowej, są wartościami wiekuistymi i nie podlegają oscylacjom mody.

Jest tu wszędzie tylko natura, która się w specjalny sposób załamała w pryzmacie temperamentu artysty. Rzeźbiarz w zakresie środków swej sztuki stara się być jaknajbliżej natury, a że kął załamania się w pryzmacie jego temperamentu jest taki a nie inny — że postacie niewieście idealizuje, modelując je nieco słodko, miękko i delikatnie, to kwestja jego upodobań i skłonności wrodzonych.

Jest ze sobą szczerzy i raczej czoła schylić należy, że nie uległ wymaganiom mody, która, dajmy na to, jak wiemy, nawet postacie niewieście kazała traktować brutalnie.

Czyż można mieć pretensję do artysty za to, że wdzięcznej „Juljetty“ nie modelował jak inni: szorstko, grubo, chropowato, kańciasto, czy zgoła kubicznie, lecz wykuł ją miękko i rozwiewnie z wyraźnym dążeniem do tego, ażeby w twardej marmur zakląć cały urok miękkiej, słodkiej, przedziwnie delikatnej kobiecości — ażeby dać wyraz plastyczny niewieściego czaru i powabu?

Takie było zgodne z przyrodzonymi skłonnościami twórcy założenie artystyczne utworu, a rzeźbiarz wytrawny, biegły, pewny środków swej sztuki i sprawności własnej dłoni, mistrz doświadczony, stanął na wysokości swych zamiarów.

Z powodu uroczystości jubileuszowej, przytaczamy tu kilka szczegółów z biografji znakomitego rzeźbiarza.

Teodor Rygier urodził się w Warszawie, w roku 1841. Kształcił się pierwotnie w Warszawskiej szkole Sztuk Pięknych, a potem akademjach zagranicznych.

Mieszka stale w Rzymie na via Flaminia, gdzie założył cieszącą się szeroką europejską sławą pracownię.

T. Jaroszyński.

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.

II.



Wicher luty, północny wicher zerwał się, spadł hen, od strony Bałtyku, zakotłował w naddziwińskich borach i stoczył w przestwór, ujęty w ramiona Wilji, Niewiaży i Niemna.

Lecz tu grzebień sosen stawily mu się hardo, — więc zawył, sięgnął ołowianych obłoków, wydarł im tumany śniegowych płatków i bluznął nimi za jadł.

W jednej chwili kłęby bieli podobłocznej zlały się z kłębami zasp śniegowych, porwanych z ziemi. Lasy, skute lodami rzeki, pola, łąki i doliny, siola, dwory i sadyby znikły w odmęcie.

Wicher szalał, miótl zawaly śniegowe, darł je na pyłki, wył, skowyczał, skrecał i lamał gałęzie; jedne drzewa osmyczał z lodowych bramowań, drugie stroił w brody, tu burzył białe puchy, uskładane przez zimę, tam trzykroć je podwyższał, tu odsłaniał łono ziemi, tam przemarzłą jej pierś otulał.

Lecz, w tropy za wichrem szedł mróz, mróz ostry, martwołą technienia swego zbrojny. Wicher za bary się z nim wziął. Mróz atoli już źdźbła śnieżne lodem przejął, już kryształy ich spajać zaczął.

Walka była nierówna. Wicher jeszcze bronil się, jeszcze dymem, kurzem białym rzygał, czaił się, milkł, aby z tem większą furją władanie swoje ustanowić — aż osłabl, omdlał i jał uchodzić w dal.

Zamieć przeszła w zadymkę. Całun śniegowy prószył, wzbijał woale srebrzystych, drzących, wirujących pyłków. Gwałtowne krychy huraganu zaokrąglal, łagodzil. Niebo spływało jeszcze chmurami bieli, ale chmurami, które ważyły się coraz ospalej, które zdawały się trwać w powietrzu, które jakby nie miały siły ani wzbić się, ani opaść.

Trwało tak, gdy naraz opadła zasłona bieli, śniegowe kobierce zwarły się, niebo szare, ołowiane rozluczyło swój firmament i połać ziemi, ujęta w ramiona Niewiaży,

Wilji i Niemna spływała pustką i ciszą. Jak okiem sięgnąć wszędy całun oslepiający, wszędy morze zbałwanionych zasp, wszędy też same pasma ciemne lasów, pasma nie władne białości złagodzić. Na niwy, łąny, drogami, rowami, strzechami zdobione równiny, wzgórza i doliny wychynał ocean bieli, spiętrzył fale i w spiętrzeniu tem zastygł.

Ale gdy, od strony Wilji, wyspy borów, drzewami wysadzone trakty jeszcze znaczyły pogrążone w śniegu kontury, gdy z tej strony liczniejsze sadyby krzątały się około wyżłobienia czarnych wstęg ścieżek — w pobliżu miejsca, kędy Niewiaża w niemnowe pada objęcia — jedna, nieskończona roztaczała się równi.

Tu, gdy zadymka ustała, znikły wgłębienia parowów, zapadły się krze. Strome skarpy nadrzeczne podały ręce nizinom i oparzeliskom. Złódz mokradeł dzieliła jedną dolę z garbami opoki, badyle zielsk, kamienie, mchy, wadoły, pagórki jeden płaszcz okrywał, jeden poziom równał.

Aż, od skraju horyzontu, ku tej pustce, ku tej tafli śnieżnej jęły zmierzać trzy czarne punkciki, trzy czarne plamy. I plamy te pędziły, rwały przed się, lecz gdy ponad tą pustką miały przelecić, gdy do przebycia jej tem szybszego jakby się rozpędzały, naraz zatoczyły krąg w powietrzu i zawisły.

Przeciągłe krakanie rozległo się ponad



Teodor Ryglar.

(Tow. Z. S. P.)

Ave Maria.

nieżnem pustkowiem. Lśniące skrzydła trzech wron zatrzepotały wolniej, trzy ciała zniżyły się i musnęły z radosnym charkotem puchów bieli.

I oto stała się rzecz niepojęta, niezrozumiała. Na zew wron, toń śnieżna drgnęła, załamała się w jednym miejscu i ukazała łeb koński, łeb biały, lodem porosły, kryształami oblepiony.

Wrony poderwały się z krakaniem.

Łeb podczas szarpnął się ku górze, dwoma strumieniami pary odetchnął i zapadł się w głębię śniegową. Lecz ta głąb, miast się za nim zamknąć, jęła rozwierać się, powiększać swój otwór, wyrzucać nawet kawały lodowatej grudy — wreszcie ustała, zastygła.

Wrony, które z popłochem coraz szersze, dalsze od tajemniczej czeluści opisywały koła, — znów, je zaczęły zwęzać.

Przenikliwy, bystry ich wzrok sięgnął już dna i na dnie śniegowej wyrwy dostrzegł wijący się w śmiertelnych konwulsjach kadłub koński.

I wrony zniżyły lot.

Ale całun śniegowy miał dla nich w łonie swem dziwniejsze jeszcze zjawiska. Oto zanim kadłub koński stęzał w ostatnim skurczu, równ całunu, tuż obok pękła, osunęła się, rozpadła i wyłoniła niezdarną, ze śniegu ulepioną niemal postać. Postać zakręciła się, odgarnęła zawały śniegowe, otrzęsła się, poszarzała i zakrzyknęła po francusku:

— Dostyc piecuchy! Ruszaj się!

Wystraszone krakanie wron było jedyną odpowiedzią na to zawołanie.

Postać targnęła się gniewnie, zakłęła i pochyliwszy się jęła żwawiej usuwać śnieg. Po chwili ze śniegu wychynęła gałganami spowinięta, szronem oblepiona noga ludzka.

— *Luigi, sacré canon!* — zachrypięła ponuro postać.

Noga poruszyła się. Z toni śnieżnej dźwignęła się druga postać a dźwigając się odsłoniła wazki otwór, wiodący do podłóżnej, w śniegu wyrytej, jamy, na dnie której, na pokładzie z desek, leżała bezkształtna masa ciał okutanych w pstre szmaty.

— A co — a co! — mruzczała ospale druga postać, grzebiąc się ze śniegu. — Przeszło!

— Więc się ciesz!

— Jedziemy?

— Na końskiej pieczeni!

— He? — Bo niby jak!? — jąkała druga

postać, mrugając niepewnie zaropiałemi oczyma.

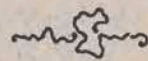
— Szkap trzasnęła kopytami! Patrzyć przed się! — Z tej matni nie dobędziemy się! — Bierz was djabli! — A cóż tamte niemrawy! Rusz się zdechły hrabio! — Kapitan ma pewno dosyć!..

Pierwsza z postaci zanurzyła się ostrożnie w otwór. Druga nazwana hrabią poszła za jej przykładem.

— Słuchaj Benoit — ozwał się nieco przytomniej hrabia — trzebaby ognia najpierw rozniecić...

— Myślisz! Żeby do gotowego przyszły!! Akurat! Pańskie fupy ci chodzą! Wstawać trupy! Dalej, bo kiecki pozdzieram!..

Tu Benoit kopnął pokład z desek. Pokład drgnął. Trzy brudne, pstre cienie dźwignęły się i przysiadły, trzy pary krwią nabiegłych, błędnych oczu łysnęły w półmroku jamy.



(d. c. n.)

WIKTOR GOMULICKI.

12)

Walc nocnych mgieł.

— Gdyby nie co? — przerwałem pytaniem zbyt długo przeciągające się milczenie.

Maska szydereza spadła z jego twarzy. Odrzekł smutno i zagadkowo:

— Gdyby nie handel.

Odsunął od siebie kieliszek i butelkę. W ruchu który przy tem wykonał, malował się wstręt i obrzydzenie. Zresztą był już zupełnie pijany — choć inteligencja i wola silna nie pozwalały temu stanowi na zewnątrz się ujawnić.

— Dymisjowany radca dworu — bąknął głosem przyciszonym, jakby na marginesie książki dla siebie tylko czynił zapiskę — musiał żyć... Wszyscy czemś i z czegoś żyć musimy! Jest to już takie podle prawo istnienia, od którego wyłamać się nie może nikt, nawet artysta. A pomyśl pan jaka to ohyda, gdy artysta — artysta mówię, nie grajek — dla chleba koncertować musi!

— Pan koncertowałeś? — zagadnąłem.

Odetchnął głęboko z uczuciem ulgi.

— Bóg był na mnie wogóle nie łaskaw. Jednak przypomniawszy sobie, że i w złem musi być miara, tej nędzy mi oszczędził.

— A radca dworu?



Gustaw Pillati.

(Tow. Z. S. P.)

Starcy.

— Proszę dodać: dymisjowany — dał się djabłu skusić, i wziął się do handlu.

Zacisnął pięście, zębami zgrzytnął.

— Nie wiem jakie jest o tem pańskie zdanie, ale według mnie, handel jest zawodem właściwym tylko dla krętaczów i lepiej lub gorzej zamaskowanych łotrów. Człowieka uczeiwego zawsze w handlu czeka ruina.

— Nie lubisz kupców, panie Mischke?

Przybrał minę bardzo solenną.

— Jeśli sztuka jest na ziemi przedstawicielką bóstwa, to handel służy niewątpliwie—djabłu. Więc jakże ja mógłbym lubić handlarzów? Wszystkich bez wyjątku, a najpierw tych, którym się dobrze powodzi, odesłałbym do domu poprawy. Obdarłbym zaś żywcem ze skóry i na stos posłał tych lotnych emisariuszów czarta, którzy się bez wytchnienia z miejsca na miejsce przewłóczą, roznosząc zarazę i bliźnich do zguby ciągnąc...

— Komiwojażerów?

Poruszeniem głowy przytaknął.

Potem długo milczał, zdając się drzemać.

Chciałem go rozbudzić ofiarowaniem szklanki gorącego ponczu, lecz nie przyjął. Należał do tych, co pijają „do kreski“.

— Sądzę — przemówił nagle, na całą szerokość otwierając oczy — żeś się pan domyślił, co się stało. To przecie takie proste — dla ludzi naturalnie, żyjących w świecie rzeczywistym. Wiadomo panu, że ja do nich nie należę.

— Przypuszczam, że dymisjowany radca dworu zbankrutował...

— Tak. Ten zaś, co do ruiny go przywiódł — jeden z tych djabłów latających, o których mówiłem — zdobył podstępnie wszystkie jego weksle, a wraz z wekslami: możliwość wtrącenia go w przepaść infamji.

— I cóż?.. i cóż?.. — nalegałem zaciekawiony.

— Zwykła historja. Szatan w danej chwili, z cyrografem w ręku, po zapłatę przyszedł. Albo zapłata, albo hańba. Zapłacono. Latający djabeł sięgnął po ofiarę, i na własność zabrał—jej...

Mischke uśmiechnął się zjadliwie a tryumfująco, jak człowiek, któremu udało się wypłatać wrogowi śmiertelnego figla.

— Nie duszę zabrał, nie! — szydził, dusząc się grzechoczącą mu w gardle wesołością. — Dostał tylko ciało. Dusza do mnie należała...

Znów zatonął w milczącej zadumie, i znów go z niej budzić musiałem.

— Wiadomość o ślubie Kätchen przyszła do mnie, gdy pisałem *finale* swej symfonji. Więc jeśli panu powiem, że pracy na chwilę nie przerwałem, zrozumiesz czemu był mój stosunek do Kätchen, i jak się zachowywałem względem kolei jej życia materialnego.

Przed zaśnięciem odmówiłem modlitwę za jej szczęście w pożyciu małżeńskim. Zasnąłem szybko i spokojnie, kołysany tonami symfonji, która mi w duszy bez przerwy grała.

O samej północy przebudziłem się nagle z uczuciem lęku śmiertelnego, i siadłem na pościeli potem zimnym okryty.

Muzyka ucichła.

„A jeśli on i po duszę sięgnie?“—syczał mi ktoś to do jednego, to do drugiego ucha.

Napróżno starałem się śmiać z pogroźki...

„Stary von Dierheim nie przeżyłby infamji — wznowiły się w ciemnościach szepoty. — Kto obronił go od bankructwa, ocalił zarazem od śmierci samobójczej. Kätchen ojca ubóstwa. Zbawcy swemu i rodzinie swej mogłaby czegokolwiek odmówić“?..

Sen odemnie odleciał. Zerwałem się o świcie. Pierwszym pociągiem popędziłem do Kätchen, do jej ojca i męża.

Mischke głowę pochylił.

— I tu się zaczyna moja martyrologja...—szepnął głucho.

Widząc jak cierpi, położyłem mu dłoń na ramieniu.

— Uspokój się pan. Jeśli cię ta spowiedź męczy, odłóżmy jej dokończenie na później. Teraz pomówmy o czem innym: o muzyce, która jest twym życiem, o poezji, muzyki siostrze rodzonej, o kwiatkach, które niezawodnie kochasz...

Zaprzeczył energicznym potrząśnięciem głową.

— Kto mnie na spowiedź wyciąga, stawia mnie na krawędzi stromej przepaści. Strącony, czyż zatrzymać się mogę? Łatwiej mi spaść, i z głową rozbitą ducha wyzionąć. A to byłoby najpożądanse!

Plamy szkarłatne, które chwilowo zmniejszyły się i poblady, znów na jego policzkach, nakształt kwiatów ognistych płonęły. Krwawy stygmat alkoholizmu i suchot!

Mowa Mischkego była teraz nerwowa, o nierównem, to galopującym, to znów zamierającym tempie. I wino wypite i bóle

przecierpiane wstrząsały silnie jego cierpiącymi chorobliwie przeczulonymi nerwami.

— Widziałem—mówił Mischke—rycinę, przedstawiającą anioła, grającego z szatanem w szachy o duszę ludzką. Jam takąż samą grę rozpoczął. A te dwie partje tak były do siebie podobne, że często doświadczałem halucynacji, i widziałem u swego partnera rogi, ślepie ogniste, oraz skórę gęstym włosem pokrytą — choć on ubierał się, jak wszystkie komiwojażery, ze szczególnym pociągiem do odzieży kratkowanej...

— I czapek z guzikami — dorzuciłem prawie mimowolnie.

— Walkę — ciągnął tamten — utrudniała okoliczność, że mój szatan był głupi — głupi w znaczeniu, jakie ja i pan do tego wyrazu przywiązujemy. W swoim świecie: w świecie handlu, giełdy, prawodawstwa wekslowego, uchodził z pewnością za pierwszorzędną siłę umysłową. Są różne stopnie i rodzaje rozumów, ale rozum *nasz* i *ich* tak się mają do siebie, jak słońce do ciemności. Ja walczyłem prawdą, on — podstępem. Ja w walce byłem orlem; on — gadziną.

Tymczasem moja symfonja spoczywała niedokończona. Tylko kilku taktów jej brakło, ale tych taktów nie byłem w stanie napisać przed doprowadzeniem do ładu zupełnego duszy Kätchen i — swojej.

Walka rozpoczęła się dość dla mnie pomyslnie. Przeciwnik miarę swoją do mnie przyłożywszy, osądził, że człowiek słaby i głupi. Nie wzmacniał swych pozycji; o obronie energicznej nie myślał.

Bywałem w ich domu. Bywałem jako poczciwy, dobroduszny niedołęga, o którego zazdrośnym być nie można. Mieliśmy oboje czyste i śmiałe spojrzenia, bo czyste i bez skrytości żadnych były nasze serca. To dawało szatanowi pewność siebie i spokój. Był to zresztą szatan niższego rzędu. W pierwszej chwili trudno mu było nawet zrozumieć o co idzie gra.

Niebawem i jego i mnie spokój opuścił...

Grałem raz z Kätchen jeden z najwybrańszych poematów Wagnera. Zespół naszych dusz bywał zwykle w tym duecie najściślejszy. Właściwie mieliśmy w nim jedną tylko duszę, akordami przemawiającą. W polowie gry położyłem skrzypce — spojrzałem na Kätchen z zapytaniem i wymówką. Ona w milczeniu oczy opuściła...

Od tej chwili nie mogłem już mieć spokoju!

Rozstał się też wkrótce ze spokojem i mój przeciwnik. Muzyka zaczęła działać nań jak woda święcona. Zaczął od krytyk; przeszedł do przekasów; skończył na cynicznie otwartem oświadczeniu, że muzyka jest głupstwem niezrozumiałem i że nie przypuszcza, żeby człowiek rozumny mógł w niej znajdować upodobanie.

Zwykła historia sowy i światła dziennego!

Stawałem się dla komiwojażera coraz podejrzawszy; on zaś był dla mnie coraz wstrętniejszy. Zaczęliśmy stronić wzajem od siebie. Stąd poszło i rzadsze odwiedzanie Kätchen.

Na grę należało wybierać chwile gdy męża w domu nie było. Ale jego teraz podejrzliwość trzymała nieustannie w domu. Krótkie, skryte, niepokoju pełne spotkania! Szare godziny, otulające płaszczem tajemnicy dwoje serc zespolonych harmonją! Mistyczne wzloty i wniebowejścia na skrzydłach wspólnego zachwyty! Rozkoszą byłybyście nad rozkoszami, boskie, niezrównane chwile, gdyby Kätchen miała po dawnemu gwiazdy nad czołem, lutnię czarodziejską w dłoni...

Ale moc dawna wyszła z niej — muza już być przestała. Zamiast brać od niej pokrzepienie, sam krzepić ją musiałem.

Życ w atmosferze piekła rzecz dla anioła zabójcza. Nawet zwycięstwo oplaca częściową utratą boskości. A Kätchen aniołem zupełnym jeszcze nie była.

Byłem czujny. W każde posunięcie na okropnej szachownicy wkładałem całą moc rozmysłu. Ale i szatan nie zasypiał.

Mówiła mi często: „to człowiek dobry!“ Jemu zawdzięcza, że nie została sierotą. On ocalił ją od podwójnej hańby: sieroctwa po bankrucie i sieroctwa po samobójcy. Jakże mogła go nie szanować? życzliwą mu nie być?..

Poza szacunek i życzliwość uczucia jej nie wybiegały. Tegom był pewny. Ale od tej pewności do spokoju zupełnego było daleko.

Przytem wolałbym był nie o nim z jej ust nie słyseć.

W tym czasie stosunki między grającymi zmieniły się. Na moje posunięcia poważne, spokojne, przeciwnik odpowiadać zaczął grą gwałtowną i brutalną. W oczach Kätchen czytałem zaleknienie. Atmosfera domu stawała się dusząca. Komiwojażer prze-

siadywał kamieniem — on, który nawet w miodowym miesiącu latał pośpiesznymi pociągami z miasta do miasta, z rynku na rynek, z giełdy na giełdę. Nie odstępował na krok żony, jak djabeł z bajki zaklętego skarbu. Na mnie patrzył z otwartą nienawiścią.

Obaj wyteżaliśmy siły. A choć jemu zdawało się, że górę nademną bierze, jam czuł stałą nad nim wyższość. I nawet wówczas, gdy w jego oczach wyczytał gotowość rzucenia się na mnie, i później jeszcze, gdy odgadując życzenie Kätchen, odwiedzać ją przestałem — byłem pewny, że ona do mnie jednego należy.

Dom ich leżał na krańcach miasta. Codziennie, o zmierzchu, błądziłem po łąkach i gajach pobliskich. O tej porze Kätchen do fortepianu siadała...

Cóż to była za muzyka! Forte pian z początku modlił się; potem się skarżył; potem o pomoc wołał. W końcu były to już tylko jęki urzeczony przez węza i gotowiającej się na śmierć ptaszyny...

Kätchen ostatkiem sił walczyła — upadała — ginęła. Wiedziałem o tem, a z pomocą śpieszyć nie mogłem...

Nie mogłem!

Przysięgam panu, że nie mogłem!!!

Mischke krzyknął tak strasznie, że biesiadnicy przy innych stołach siedzący, przeważnie napół lub całkowicie pijani, zwrócili się w naszą stronę. Gospodarz przybiegł, pytając: co się stało?

Mischke, z głową na rękach wspartą, ciężko dyszał. Twarz jego była już cała szkarłatna.

Pozwoliłem mu uspokoić się, potem spytałem:

— Czy Kätchen była podobna, do której z kobiet, które pan znałeś?

Skupił myśli i osądził:

— W szczególności do żadnej. Przypominała zarazem wszystkie.

— Czy znaczy to, że skupiały się w niej przymioty wszystkich innych kobiet?

— Tak.

— Całej kobiecości?

— Nieinaczej.

— Wiedziałem, że tak być musiało!

Opanowawszy silne wzruszenie, badałem dalej.

(Dok. nast.)





Gustaw Pillati.

(Tow. Z. S. P.)

Przed chatą.

I ZNÓW STANĘ PRZED TOBĄ...

*I znów stanę przed tobą, jak boży
Posel z wieścią, wysłany od Pana:
Że na wieki ty jedna wybrana,
Że tak społem iść będziem ku zorzy.*

*Aż w dalekość lazuru wpłyniemy,
Po dniach trudu i męki, i znoju —
Do przystani słonecznej pokoju,
Gdzie grom usnął milczący i niemy...*

*I tak stanę z promiennem obliczem —
Z najcenniejszym ze wszystkich swych darów:
Z wiarą w górny lot dusz, jak ikarów,
Co wciąż w sercu goreje mi zniczem —*

*Z wiarą w życie, co ongi szalało —
A dziś, w jasny dzień twego patrona,
Lśni, jak tęcza, po burzy zbudzona —
Za mgłą wspomnień przezrocza i białą...*

*I tak stanę nie z czarą rozkoszy,
Nie z odurzeń tchem wiosny różanem —*

*Jeno z uczuć płomiennych peanem,
Jako z wichrem, co chmury rozproszy.*

*Z białej skroni, boleścią zmroczonej —
Zmiecie krwawą, cierniową koronę
Z serca twego, co łzami pojone,
W żalu czarne tuli się welony...*

*Lecz, jak słońcem — ócz żarem wyzłocę
Wszystką czarność, co w kir cię odziewa!
Będę w skwarze, jak słodki cień drzewa —
I jak miesiąc w bezgwiazdne twe noce!..*

*Pieśnią prostą, co w duszy swej noszę,
Jako szkaplerz na piersiach obronny,
Sad wyśpiewam kwitnący, a wonny,
Co owoców da słodkie ci kosze!*

*Bo tak stanę z promiennem obliczem —
Z najcenniejszym ze wszystkich swych darów:
Z wiarą w górny lot dusz, jak ikarów,
Co wciąż w sercu goreje mi zniczem!..*

Władysław Zalewski.

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Teraz tembardziej widzieć go nie mógł, bo do siebie plecami obrócenii byli.

Jasieniec wchodząc, pańskiem skinieniem głowy powitał obecnych — —

— Czołem!.. odpowiedziano — —

Na chwilę przyciszony gwar rozmowy, wzmógł się znowu. Nie dziwował się nikt z przybycia tak zacnego gościa; nierz trszakający mógłby i samego króla jegomością pod dach podobnej gospody zagnać, a że kurzyło już z czupryn szlacheckich, dziewczki zaś, częstowane uczciwie, stawały się coraz miłsze i przystępniejsze — nie zwracano już żadnej uwagi na przybyszów, do których uprzejmy Lejba wnet podbiegł i czekał rozkazów.

— Co masz najlepszego z trunków i ja dła — rzekł Jasieniec.

Po chwili nasi przybysze oswoili się z gwarem i niemilą atmosferą izby karczemnej; po baczem zaś rozpatrzeniu się, Jasieniec do przekonania doszedł, że każdy sobą zajęty był i najmniejszej uwagi na niego i na jego młodego towarzysza nie zwracał. Nie widział tylko, jak zydel pana Kukulki nieco się z za szafy wysunął, jak ucho Zaranca zwróciło się ku nim.

Lejba, co miał najwykwintniejszego, postawił przed nimi. Znalazła się tedy wódka gdańska, chleb biały, szczuka faszzerowana, czy, jak Lejba mówił: fuszerowana, kura w rosoli i wina gąsior niemały, na Węgrzech *natum*, u Lejby *educatum*.

— A teraz słuchaj — szepnął Jasieniec do Przemka.

W krótkich słowach opowiedział mu dzieje miłości swojej, a że w opowiadaniu szczegóły różne pominął, rzecz całą w kilkunastu wyrazach zakończył, zresztą, tego, co było głównym przedmiotem opowieści, Przemko domyślił się już był przy pierwszym spotkaniu się z Jasińcem i bezwiednie może a tak dobrze scharakteryzował obecny stan duszy wojewodzinej, zapatrzonej więcej w przeszłość niż w przyszłość. Teraz mógł to z większą pewnością powtórzyć, bo, jako przydany do posług wojewodzie, widywał prawie codziennie panią Włodkową, do któ-

rej z rozmaitemi poleceniami wojewoda go posyłał.

Ładne chłopię mile było widziane przez panią Dominikę; siadywało na skraju jej łoża i wpatrywało się nieraz długo, długo w twarz chorej pani, pokrytą jakimś obłokiem smutku, anielsko pięknej i anielsko dobrej. Że szczęśliwą nie była, to o tem jej oczy, w zaświaty już zapatrzone, mówiły; że mogło być szczęście, że była krótka pojawień się jego chwila, mówiły o tem łzy, zjawiające się nagle w tych oczach i jak perły spływające po licach zbladłych, mówiło bezwiedne poruszenie głowy, coś, niby powitanie i żegnanie mar pięknych, a to wszystko nie uchodziło uwagi pacholęcia, resztę zaś dopowiadała mu Perełka, nie odstępująca prawie na chwilę od łoża chorej pani.

Nie trzeba tedy było i ze strony Przemka słów wielu, by rycerz zrozumiał, jak tam jest z wojewodziną. Aż pięście zacisnął i zadygotał cały, gdy o tych łzach a pożegnaniu mar Przemko mu wspomniał. Możeby krzyk skowytu wypadł z piersi Jasińca, gdyby nie to, że nie był sam, że hamować się musiał, że nie mógł folgi dać rozpaczy swojej, by nie ściągnąć na siebie spojrzeń dotąd obojętnych, i już się stać przedmiotem zaciekawienia i zmuszonym być do trzymania języka za zębami, bo jużby i szept nie pomógł, i nie jedne uszy niepowołane nastawiłyby się ciekawie.

Jednym tedy łykiem wypił dużą wina szklanicę i raz jeszcze obejrzał się dookoła.

Ale każdy zajęty był sobą. Gwar nie ucichał, Lejba wydawał rozkazy, dziewczki od stołów do szynkwasu i napowrót biegały, nawet Zaraniec bąbiasty łeb swój na stół położył, szerokimi łapami go nakrył i udawał, że drzemie. Tymczasem cały w słuch się zmienił, chwycił urywane słowa prowadzonej rozmowy, chcąc z niej wyciągnąć skutecznymieć z walki ze znienawidzonym przez ciebie rycerzem. Głupi!.. nie rozumiał, że — *pan na Smioleńiu* podgarnął się do *męża rycerskiego*, *zbojowi* zaś leśnemu rozkazywał — *wilk stary*.

Udawał, że śpi — a słuchał...

— Wiesz już, jako jest — prawil Jasieniec, o ile można było głos zniżając — a teraz wiedz, że cała nadzieja ratunku mojego i jej — w tobie spoczywa!

Chłopak wypatrzył się na mówiącego.

— A w czymże ja wam pomódz mogę? zapytał — —

— Przychodzisz do wojewodziny — —
— A no — tak!
— Bywa chwila, że tylko z nią sam
jesteś — — —

— A bywa — —
— Wspomnij jej o mnie, o mojem mi-
łowaniu bezgranicznem, tęsknocie mojej,
o pragnieniu... ujrzenia jej — — —

Przemko głową poruszył — —

— To trudno, to bardzo trudno ujrzeć
wojewodzinę!..

— Niech mi naznaczy dzień i godzinę,
powtórzysz mi ten dzień i godzinę—a przyjdę...

— Jak? — spytało pachole —

— Ty mnie wprowadzisz — —

Kukułka się poruszył, a Przemko znów
spojrzał na Jasięcia — —

— Wahasz się? — spytał Pełko —

Chłopak namyślał się nad czemś — —

— Nie chcesz? — powtórzył rycerz —

Chłopak głową poruszył i rzekł:

— To nie to, panie rycerzu, żebym się
wahał albo nie chciał; lecz dopóki pewności
nie będę miał, że wy przepiecznie do zam-
ku wejść będziecie mogli, dopóty o was
słowa jednego pani wojewodziny nie będę
mógł rzec, bo porwie się do lotu, jako ptak
za wiosną stęskniony, a tu ani jej wyjść za
mur zamczyska, ani was się doczekać, tej
wiosny, pogrzebanej w myślach i sercu.
Wiem ci już teraz, co to za choroba jest;
dlaczego tak długo trzyma panią woje-
wodzinę do łoża przykutą; wiem ci już te-
raz, jakie znaczenie ma ów kwiat lilji, na
który wam u Górków wska-
zała.

Pełko ułapił za rękę mło-
dzieńca i ścisnął mocno.

— Jakieś ty mi słońce
ogromne w źrenicę rzucił! —
zawołał — —

Drżał, niby zimnicą na-
wiedzony, choć w izbie było
parno od żaru kominkowego
i gorących wydechów piersi
ludzkich.

— A jednak ja muszę
u niej być, o dniu tym i go-
dzinie ona powinna być za-
wiadomiona — szeptał nerwo-
wym głosem Jasieniec.

— Wiem ci o tem i my-
śle nad tem — odpowiedział
Przemko —

— Ja ci ułatwię spotkanie — szepnął
do siebie Kukułka.

— Wždy wychodzisz z zamczyska? —
mówił rycerz — —

— I wracam — dodał Przemko.

— Zali nie można przekupić straży, by
wchodzącego mnie z tobą nie widziała?

— Wrót głównych „stary koń“ pilnuje,
z nim się nie dogada człek żaden, chyba
byłby źrebem ze stada, a zresztą tamtędy
nie łącno się przesunąć przez korytarze, któ-
rych strzegą wierzeje zaparte. Najbezpiecz-
niejsza droga wedle babieńca, tylną fur-
tą zamczyska, któredy się czasami wysuwają
dziewuchy na płasy ponocne. Jeno, że fur-
ta niska, w granity skał wsadzona, żelazem
okuta, a sam Pan Jezus nie dostałby do niej
kluczków od Maćka Softysiaka... Przekupić
się nieda!..

— Spoić cerbera! — zawołał Jasieniec —

— Kromie wody nie pija nic!

— Piekło! — zgrzytnął Jasieniec — —

— A jednak sprawy onej nie ostawić
nam tak, panie rycerzu — rzucił Przemko.

— Co masz na myśli, mów, mów! bo
głupi człek ze mnie dzisiaj — szepnął bez-
radnie Jasieniec.

— Wojewoda czasami opuszcza zam-
czysko na dni dwa i dłużej — zaczął chło-
pak...

— I co? co? — Pełko przerwał — —

— Wtedy to dziewczuchy odbywają po-
nocne tany swoje na dolinie pod zamkiem.

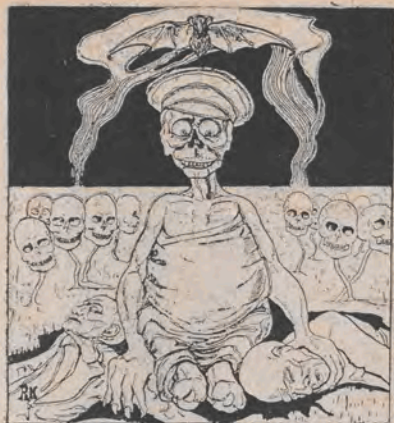
(d. c. n.)



Wpław przez Pillicę.

Fotogr. Stanisław Maciejowski.

(Z wystawy „Krajobraz polski“).



Rysunek przedwcześnie zgasłego ilustratora Romana Korsaka, symbolizujący zbrodnię.

Zbrodnie.

Po masowych morderstwach, terrorze, ekspropriacjach, bombach, życie przyniosło pojedyncze jaskrawe awantury i zbrodnie, które nie powinny przejść bez echa dla świadomości społecznej. Szał morderstw w lata rewolucji osiągnął szczytu; jeszcze nigdy zapewne nie mordowano z większą lekkomyślnością, niż wtedy. Tłumaczyć się jednak mogą jeszcze te okropne zjawiska rwącym pędem wiru społecznego, który wówczas oświadczył wszystkim. Jeden dzień przynosił więcej niespodzianek, rozczarowań i nadziei, niż całe tygodnie obecnego naszego życia. Budziły się przeciw zbrodniom protesty, lecz były nieliczne i słabe w stosunku do entuzjazmu stronnictw, co nawet bratobójczą walkę prowadziły w imię idei. Ulice Łodzi mogłyby w niejednym zwierzyć się przyszłym pokoleniom. Niech wysłuchają ich serdecznej spowiedzi historycy i zanotują dla przyszłości wszystko to, co usłyszą w ich zbolełym sumieniu!

Zjawiały się nawet broszury, książki i artykuły gloryfikujące mord. I jeżeli już nie sankcjonowano mordu, to przynajmniej pogarda dla śmierci miała się stać zadatkami przyszłego życia. Życie od tych lat odbyło wielką przemianę w swoim wnętrzu, a ideologie te nie zmieniły się w niczem. Snadź twórcy tych haseł nie dostrzegli zmiany, czy też są poza zdolnością wycucia, zrozumienia ich doniosłości, gdyż dalej, uporeczywie powta-

rzają pieśni, które nawet w te burzliwe, krwawe lata nie doprowadziły do żadnego celu. Co więcej należy uznać, że były fakty tak bezcelowe, iż krew ścina się w żyłach na wspomnienie. No, ale podobno, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą... Przez ogólne rozentuzjamentowanie się i żywioły pelzające w cieniach nocy nabrały odwagi do wysunięcia swoich macków na światło dzienne. Mięsząc poczęto ideały z poziomymi instynktami... nieraz rabuś przywdziewał maskę ideowca a ideowiec stawał się rabusiem. Męty, wiry, wiry i męty władzały społeczeństwem. Z tych to mętów kroniki sądowe zapisały nie jedną kartę zdarzeniami o barwach niebywałych, czarnych, ponurych. Procesy Wonlalarskich, Ronikiera, Macocha, rewelacje Bakaja i w konsekwencji sprawy Azefa, Brzozowskiego, Borowskiej i później Rybka — to już chyba ostatnie akordy tej szarpającej symfonji.

Człowiek będzie zbrodniarzem dotąd, dopokąd głód jego próżności, ambicji, miłości istnieje będzie. A przecież nigdy nie rozstanie się on z temi swojemi przywarami, jak i enotami! Prometeizm wiecznie władać będzie duszą ludzką. I czy to będzie dobro lub zło, osądzą go współcześni, wyda wyrok potomność. Bo przecież choć nie-

raz sąd współczesnych potępi człowieka, potomność uwije mu laurowy wieniec chwały i dostojęństwa.

Są jednak zbrodnie, które potępione będą bez względu na czas. Taka szajka, jak Macoch i spółka wiecznie będzie dla duszy polskiej odrazą. Wiecznie też potępiać będzie społeczeństwo oszustów i złodziei, fałszerzy i wszystkich tych, co kalamają naród i swoją ziemię. Społeczeństwo, jeżeli nie może wytepić takich osobników zupełnie, to powinno chociaż unieszkodliwić ich dla siebie, a z drugiej strony już od samego zarania wychować w ten sposób, by złagodzić ich dzikość, przewrotność, zbrodniczość.

Społeczeństwem mocnym, zorganizowanym, pojedynczy zbrodniarz nie przynosi tyle krzywdy, ile społeczeństwem słabym. Wogóle społeczeństwa słabe biorą zbrodnie osobników za wyrok nieba, za doświadczenia w celu ostatecznego pogięcia. Kto więc chce pracować, by tego rodzaju psychologia nie oświadczyła zbiorowością, powinien zbiorowość tę budować, hartować, wytwarzać z niej mocną, odporną bryłę, o którą każdy zamach przeciwny się roztrzaska. A w tym celu należy budzić samowiedzę społeczną nie dla kraju tylko, ale i dla czynów szlachetnych i wielkich,



W parku.

Fotogr. Stanisław Maciejowski.

(Z wystawy „Krajobraz polski“).

dla pracy mrówczej i dla poświęcenia.

Gdy na horyzont wypłynęła sprawa Macocha — wszyscy zaczęli rozdzierać szaty, jakgdyby dzień sądu ostatecznego przyszedł dla naszej społeczności. Podniesiono fałszywy jęk i płacz, gdy należało tylko bluznąć pogardą dla zbrodniarza. Naród przecież nasz historii swojej nie zamknął wraz z procesem Macocha. Powinien tylko ten proces otworzyć narodowi oczy na wiele spraw, które dotyczą go, jako organizmu zbiorowego, bezpośrednio.

U nas nauczono się żałobnictwem, smutkiem, płaczem rozstrzygać wszystkie sprawy. Bijemy się w piersi, gdy spotykają nas klęski, szlochamy nad kwestją rusińską, budzi w nas depresję i smutek ronikierjada. I to wszystko. Poza ten płacz i rozdzieranie szat społeczeństwo wyjść nie chce. Otóż, wraz z tępieniem zbrodni, należy też walczyć z tym tradycyjnym smutkiem. Nie mamy co prawda powodu do pustactwa, ale też nie powinniśmy się tylko wciąż smuć. Nałóg ten zwalczać należy przez zainteresowanie całej opinii polskiej w pracy kulturalnej, należy zaprzędz wszystkie siły do warsztatu społecznej gospodarki, a wtedy płakać nie będziemy. Każdy zamach z zewnątrz spotka się tylko z oporem, który wytworzy się w duszach, gdyż będą zahartowane przez pracę, przez doświadczenie. Zdaje się, że dziś już mamy otworzone pole dla takiej działalności. Zresztą czyż kiedy było ono zamknięte? Kto chce przynosić pożytek społeczeństwu zawsze może. Zawsze można znaleźć jakiś zagon, który doskonale da się uprawić. Możliwe, że przy sprzyjających warunkach praca będzie dawała natychmiastowe, widoczne rezultaty, wtedy gdy przy złych warunkach rezultaty byłyby dopiero widoczne po dłuższym czasie. Ale przecież to wszystko nie znaczy, że orać gleby nie można. Nawet i na moczarach przy wysiłku rodzi się kłos, nawet na skałach ludzie umieją wytworzyć grunt pod siew. Trzeba tylko mieć silną wolę i zrozumienie potrzeby.



Uczta w Warsz. Tow. Artyst. z okazji 50-letniego jubileuszu prof. Rygiera. × Jubilat.

To też, kto chce skutecznie walczyć z wszelką zbrodnią, niech przedewszystkiem społeczeństwo swoje czyni mocnym, zorganizowanym. W miarę wzrostu siły gromadzkiej maleje zbrodnia. Wytępić bowiem zupełnie jej nie można. Tylko moc społeczeństwa redukuje jej znaczenie. Niech więc krzewi się bujnie myśl o sile narodowej, a wtedy nawet zbrodnie będą mniej dotkliwie działały na nasz organizm zbiorowy.

Budujcie więc społeczną moc! Budujcie więc zbiorową, solidarną siłę.

Wystawa G. Pillatiego.

Jeden z bocznych salonów Pałacu sztuki zajął całkowicie obrazami swymi pan Gustaw Pillati.

Wystawa jest nader interesująca. Artysta zebrał tu razem wielomiesięczny, jeżeli nie kilkoletni swój dorobek malarski — dorobek ilościowo bardzo obfity.



Gustaw Pillati.

(Zbiorowa wystawa prac w Tow. Z. S. P.).

jakościowo zaś istotnie zgoła nieprzećiętny. P. Pillati ma już swoją zdecydowaną bardzo fizjognomję artystyczną. Manifestuje się on przedewszystkiem jako wybitny kolorysta — kolorysta powiedziećby można — à outrance, to znaczy, że w sposób jaskrawy inne strony obrazu podporządkowuje jego stronie kolorystycznej.

Tendencje te znaczą się wyraźnie, przez szerokie mocne zestawienia barwne, które też w ostatecznym rezultacie dają efekty o niezmiernie silnym napięciu kolorystycznym.

W dążeniach do efektu tego artysta nie cofa się przed gwałtownymi, pozbawionymi subtelnych przejść połączeniami kolorów bardzo innych i bardzo gorących, nie cofa się przed pewną, że tak powiemy brutalnością wyrazu, lecz wierny swej doktrynie estetycznej, śmiało idzie do najdalszych w konsekwentnym jej rozwoju, wyników.

Można się nie zgadzać na doktrynę, która zresztą, jawi się na tle pewnych szczególnych skłonności i predyspozycji indywidualnych, ale przyznać trzeba, że artysta w zakresie zamiarów swoich malarskich stanął na wysokości zadania i w kilku z utworów wystawionych cel swój osiągnął — zdobył siłę.

Jubileusz prof. Rygiera.

W lokalu Warsz. Tow. Artystycznego odbyła się w ubiegłą sobotę uczta, w celu oddania hołdu znakomitemu naszemu rzeźbiarzowi profesorowi Teodo-

rowi Rygierowi, z okazji pół-wiekowego jubileuszu niespożytej jego pracy na niwie artystycznej.

Na ucztę przybyło kilkadziesiąt osób z pośród wybitnych przedstawicieli tutejszego świata literackiego i artystycznego, a wszyscy jednym uczuciem byli ożywieni względem czcigodnego jubilata, uczuciem wdzięczności za wszystkie jego zasługi, które jako wielki artysta i zany obywatel kraju, ojczyźnie na ołtarzu złożył. A składał je niezmordowanie przez pół wieku, składał gorącym sercem polaka, składał wszystką potęgą swego ducha artystycznego.

Wznoszono szczerze gorące toasty, serdecznymi słowy odpowiadał na nie jubilat. Nastrój panował podniosły, harmonja i łączność. Uroczystość przytem miała charakter zebrania przyjacielskiego — serdecznego zebrania.

Jubilat zwierzył się obecnym, że poruszony do głębi grozą strasznych wypadków, jakie miały miejsce na Jasnej Górze, pragnie wyrzeźbić przeora Kordeckiego, korzącego się przed Matką Bożą Częstochowską, błagającego zlitowania za grzechy.

Późno w noc przeciągnęła się uczta. Żegnano się serdecznie z jubilatem, który na dłuższy czas wyjeżdża do Włoch, by pod błękitnym słonecznym niebem, na obczyźnie tworzyć — lecz tworzyć dla swoich.

Z MUZYKI.

W „Kurjerze Warszawskim“ bezimienny akcjonariusz Filharmonji w liście do redakcji tęsknie wspomina dawne dobre

czasy tej instytucji, ze sceptycyzmem natomiast spoglądając na obecny *status quo*. Biada między innymi, że Filharmonja nie jest dziś miejscem zebrania najwyższego świata towarzyskiego, biada również, że koncerty za panowania Rajchmana były świetniejsze (czyżby dlatego właśnie, że ów „najwyższy“ świat się zbiera!).

Panie bezimienny, świetność obecnej organizacji koncertowej nie ustępuje pod względem artystycznym „świetności“ ówczesnej, bodaj że nawet przewyższa ją; słyszeliśmy wszak w ostatnim sezonie takich mistrzów, jak: Ysaye, Thibaud, Casals, Kreisler i w. innych, a to że za dawniejszych rządów Paderewski występował w Filharmonji, nie było przecież zasługą dyrektora ani zarządu. Paderewskiego nie trzeba umiejętnie ciągnąć na występy, ani mu nie zaimponuje konsorcjum bardziej lub mniej odpowiedzialne... Paderewski gra nie z myślą o jakimś zarobku, bo wszak koncerty daje u nas zwykle na cel dobroczynny, ani też gra, by prośbom kogoś „wyżej postawionego“ uczynić zadość, lecz gra, by polskie serca otwierały się przed królewską jego pieśnią!

Świetność zaś, zasadzająca się na publiczności ze sfer, którą nagania zręczny dyrektor lub ściągają utytułowani akcjonariusze — to świetność bardzo problematyczna. Jeżeli tylko werbowane „towarzystwo“ ma uczęszczać na koncerty a nie towarzystwo dążące tam z prawdziwego umiłowania muzyki, jeżeli trzeba jakichś wabików w rodzaju utytułowanych przesów i zręcznie manewrujących dy-

rektorów, by niebieska krew falą nadpłynęła, to już lepiej że fala ta odpłynie od wrót przybytku sztuki.

Niektóre koncerty, obliczone na sfery, urząda się teraz w teatrze Wielkim, gdzie akustyka jest gorsza i gorsza orkiestra, która nie tak artystycznie towarzyszy solistom wieczno-



Henryk Melcer

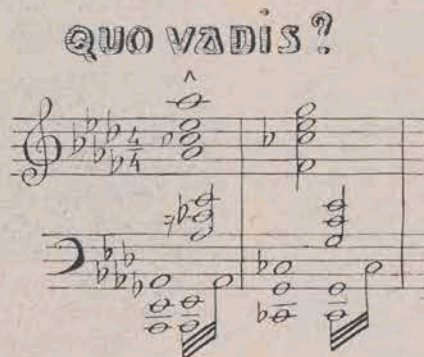
dyrygował orkiestrą podczas wykonywania oratorjum, które, dzięki jego staraniom, ujrzała Warszawa.

ru. Lecz to nie zniechęca „towarzystwa“, ciągną na taki „recital“ długie sznury karet, wioząc w swych pudłach śmietankę naszego towarzystwa.

Doprawdy, patrząc na to, musimy przyznać, że obecna demokratyzacja Filharmonji, tylko podnosi jej charakter artystyczny. Inteligienja, która uczęszcza na koncerty, idzie tam z prawdziwego umiłowania muzyki, z prawdziwej duchowej potrzeby. Dla tych którzy tam dążą, istnieje przedewszystkiem sztuka, która nakazuje nawet zapomnieć w chwilach obecowania z nią o niepowołanych jakichś przedsiębiorstwach, jak np. kinematograf, gnieżdżących się w gmachu przeznaczonym na jej świątynię. Śaśiedztwo to może nas martwić, smucić, oburzać nawet, lecz nie może w niezem ując istoty władztwa samej sztuki. Jeżeli splendoru sztuce mają dodawać korony utytułowa-



Feliks Nowowiejski
kompozytor słynnego oratorjum.



nych figurantów, to już przecież stokroć lepiej — że nie zaćmi jej blasku pierwsza lepsza z brzegu buda jarmarczna.

Niech więc pan bezimienny nie biada nad obecnym stanem rzeczy. Chęci i pracę dzisiejszych



Fryderyk Kreisler
znakomity skrzypek.

organizatorów nasze *lepsz*e społeczeństwo*) dobrze osądziło, dając wyraz w nader tłumnym uczęszczaniu na koncerty, natomiast t. z. „*lepsz*e“ towarzysztwo niech sądzi sobie jak chce i... bodajby nawet nie „uświetniało“ swą obecnością sali naszej Filharmonji — — krzywdy stąd żadnej nie będzie.

*

Wspaniałe Oratorium dramatyczne Feliksa Nowowiejskiego „Quo vadis,“ osnute na podstawie powieści Henryka Sienkiewicza, nareszcie doczekało się wykonania u nas w Warszawie w wielkiej sali Filharmonji.

Niepospolite dzieło Nowowiejskiego w I-jej części odtwarza pożar Rzymu za Nerona, wstrząsając grozą nastrojów; w II-jej części słyszymy rytmiczny marsz pretorjanów idących między lud, by rzucić podejrzenie na chrześcijan — a wtedy rozbawiony tłum rzuca złorzeczenia, domagając się w dzikich okrzykach wydania chrześcijan na pastwę zwierząt. W następnej scenie słyszymy śpiewy w katakumbach i piękną arję Lygji, błagającej św. Piotra, by życie swoje ratował uchodząc z Rzymu. Ostatnia, nastrojowa część, maluje widzenie św. Piotra, gdy opuszcza Rzym. Ukazuje mu

się Chrystus, a św. apostoł, porzeczony na duchu, znów powraca do Rzymu, gotów na wszelkie męczeństwa i śmierć. Oratorium kończy potężna pieśń, głosząca zagładę Neronowi.

Utwór Nowowiejskiego jest dziełem głęboko pojętem i tylko wysoka kultura artystyczna mogła się złożyć na tak obszerną w swem założeniu kompozycję i tak pojętą istotę ducha danej epoki, ludzi i uczuć.

W wykonaniu wzięła udział War. Ork. Symf. pod wysoce umiejętną dyrekcją Henryka Melcera, jak również chóry, oraz kilku solistów z których nie wszyscy jednak podolali wysokości zadania. Być może zbyt krótki czas na przygotowanie się i wystudjowanie partycji był tego przyczyną.

Prof. Surzyński bardzo pięknie odegrał solo w trzeciej części oratorium.

Opuszczaliśmy salę pod wrażeniem podniosłem wielkiego dzieła znakomitego naszego kompozytora, wdzięczni prof. Melcerowi, że dał nam je poznać.

Koncert Fryderyka Kreislera, urządzony na cel dobroczynny, staraniem kolonji austriackiej w Warszawie, zgromadził tłumy publiczności. I nie dziwnego, bo atrakcja była wielka, gdyż znakomity skrzypek czarował swoją niepospolitą grą. W pierwszej części cudnie wyśpiewał na skrzypcach koncert Mendelsohna, w którym subtelność gry mistrza uwydatniła się z niezwykłą wyrazistością. Druga część składała się z utworów krótszych, między którymi były dwa własnej kompozycji słynnego koncertanta. Podnieść również należy bajeczną czystość i dokładność w wykonywaniu najtrudniejszych utworów.

Z.

TEATR.

Obleżenie Warszawy.

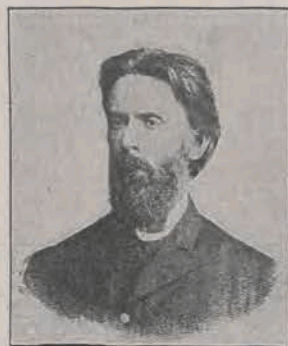
Płynie pieśń. Przypomina, budzi dawno uspięone uczucia. Zarzeczy werbel, pęknie granat, rozerwie się bomba — i trwożą się lub rosną serca polskie. Każdy czeka z nadzieją, każdy czeka z pragnieniem, by ziemia zdobyta pracą pokoleń pozostała w naszym posiadaniu. Ciemne jednak przesuwają się cienie. Zdrada coraz szczelniej otacza naród, wyrasta nawet przy pod-

nóżach tronu. Sztuka Bełcikowskiego pokazuje właśnie jeden z takich momentów, rysuje na ekranie scenicznym obok bohaterów i czarną twarz księżcego gońca-szpiega.

Bełcikowski pisał swoją sztukę z wyraźną tendencją oddania czei ludności mieszczańskiej, a właściwie wogóle klasom nieuprzywilejowanym. Biedna przekupka warszawska wyrasta na bohaterkę. Bo i rzeczywiście była ona bohaterką. Magda sprzedająca obwarzanki i kiełbasy, decyduje się na krok tak poważny i wielki, że może śmiało rościć sobie pretensje do laurów.

Spotyka się i ona z nieżyczliwością rodaków. W przystępie bólu, jaki uczyniły jej obelgi wiarusów, biegnie prosto na kule nieprzyjacielskie po śmierć. Sprawiedliwości jednak staje się zadość. Kona Magda na rękach Naczelnika. Pochylają się do jej nóg wojenne sztandary, trąbka śpiewa pobudkę żałobną.

Fabula „Obleżenia Warszawy“ zamyka w sobie jeden z momentów wojny polskiej z prusakami. Na tle tego dziejowego zdarzenia opowiada p. Bełcikowski o udziale w obronie Warszawy przekupki. Widzimy ją w obozie polskim, później pruskim, później jeszcze na zamku warszawskim, aż wreszcie wraca z obwarzankami do obozu wiarusów i tu zostaje żelazną, gdyż podejrzewają ją o zdradę.



Adam Bełcikowski
autor „Obleżenia Warszawy“.

Finał odbywa się na placu przeglądu wojska. Głośnie, żałobne fanfary kończą sztukę.

Bezwątpienia, że utwór Bełcikowskiego poza miłą i drogą nam tendencją żadnych innych walorów nie posiada. Nie chodziło, zdaje się, autorowi o inne walory. Pisał swoje sztuki z wy-

*) Wyraźnie *nasze* a nie *napływowe*.

rażnym celem uprzystępnienia historii szerokim masom. I dlatego powinno się sądzić jego utwory tylko od strony tego moralu, jaki układa w swoje bezpretensjonalne obrazy. Krytycy, którzy w inny sposób chcą wartościować jego twórczość sceniczną, zmiągają się z samem założeniem tego, o co chodziło Belcikowskiemu.

Jako umysł, należał on do najuczciwszych badaczy zabytków przeszłości naszej piśmienniczej. Jego studjum o Bogomoleu uważam za wzorową pracę, choć pewien „młody“ a już łysy krytyk-nowelista, zgorzogniony jest naiwnością Belcikowskiego. Zapewne ten pupilek warszawskiego tupetu i nieuctwa nie poza przekupką nie widział. Stąd jego zgorznienie... wobec doktoratu filozoficznego Belcikowskiego. Chcąc jednak, by szanowano pracę własną, należy też umieć uszanować pracę cudzą. Dziwne tylko, że redakcja puszcza takie „odważne“ sądy i pozwoli kompromitować bezkarnie swoją powagę.

Należy poczytać za zasługę dyrekcji teatru Zjednoczonego, że wystawiła „Obłężenie Warszawy“. Przekupkę grała p. Dunin-Rychłowska. Już od czasów „Wesela“ zwracam stale uwagę na jej bujny, szczery talent. Role ludowe należą do najlepszych jej kreacji. Naczelnika robił p. Nowakowski. Poniatowskiego udawał p. Tatarakiewicz. Króla—p. Rychłowski. P. Orliński przez patryjotyzm mścił się na prusakach i karykaturował niemiłosiernie swoją rolę. Dzielnie sekundował mu p. Malkowski, który wyglądał raczej, jako bruchomówca, niż żołnierz ze szkoły imci króla pruskiego.

Teatr przy ulicy Kaliksta wystawił sztukę Kraszewskiego „Panie Kochanku“. Publiczność robotnicza wypełniła salę związku Chrześcijańskiej Demokracji po brzegi. Aktorzy grali nieszczerze; wystawa była dosyć dobra, jak na środki, którymi rozporządza teatr związkowy. Reżyserja poprawnie wywiązała się z zadania.

W Warszawskim Towarzystwie Dramatycznym odegrano poraz drugi „Męża z grzeczo-

ści“. Na ten raz rolę żony grała p. Paprocka, uczennica Rolanda. Z zadania wywiązała się dosyć dobrze, choć nie posiada warunków do takich ról. Tylko momenty liryzmu przekonywały widzów.

E. C.

Szkoły dla dzieci tramwajarzy.

Z inicjatywy dyrektora tramwajów p. Spokornego stworzono już szkołę przemysłowo-rzemieślniczą. 6 maja 1910 roku, Zarząd Tramwajów zdecydował się ufundować ochronę i szkołę dla pracowników, któreby biorąc w opiekę dzieci od lat 5-u, wychowywały je i następnie kształciły do lat 16-u w rozmaitych rzemiosłach. We wrześniu r. b. wyjdzie już z ochron do szkoły około 150 dzieci i przybywać będzie rocznie po 100, tak, że w lat sześć szkoła początkowa liczyć będzie 600 dzieci. W 7-m roku pierwsza setka przejdzie do klas warsztatowych, a po latach czterech ilość w klasach tych dojdzie do 400, czyli razem w sumie uczęszczać do szkoły będzie 1000 dzieci.

Fundację tę należy powitać z zupełnym uznaniem. Zasługuje ona ze wszechmiar na poparcie, gdyż dostarczy społeczeństwu wykwalifikowanych pracowników i rodzicom ułatwi wychowanie swoich dzieci. Za-



Maurycy Spokorny

dyrektor tramwajów warszawskich, inicjator szkoły przemysłowo-rzemieślniczej dla dzieci tramwajarzy.

robki bowiem pracowników są tak małe, że uwolnienie od czynszu będzie w rocznym budżecie wielką zapomogą dla przeciętnej rodziny tramwajarskiej.

Przez taką szkołę oraz inne urządzenia natury społecznej zadzięrga się nie porozumienia między pracującym a pracodawcą.

„Złote Runo“ w Berlinie.

Na scenie warszawskiej, lwowskiej i krakowskiej nie spotkał



Stanisław Przybyszewski.

„Złote runo“ zyskało niebawem sukces za granicą.

się Przybyszewski nigdy z takim uznaniem, z jakim otaczano jego samotną, arystokratyczną sztukę w Rosji, Niemczech i Włoszech. Zdaje się, że nigdzie nie przyjmowano twórczości autora „Śniegu“ „rozważniej“, „sceptyczniej, a nieraz i złośliwiej, niż w Polsce. U siebie w domu ciągle obrzucano go obelgą i może tylko jeden St. Brzozowski zrozumiał i odczuł duszę jego wiecznie niespokojnego, żywego, męczącego się artysty. I zdawałoby się, że świat wizji Przybyszewskiego skupia się w tak wąskim kole doświadczeń? I zdawałoby się, że poza pieśń miłości jego sen o potędze nie wychodzi? Jednak i wąskich szczelin odslaniających przepaście ludzkiego bólu nie zdołano ujrzeć. Nie zdołano zrozumieć nawet tej pierwotnej filozofji, a na początku była chuć. Dziś Świętochowski cały system tworzenia się pojęć etycznych na podłożu socjalnem rozważa z tego założenia, dziś uczeni od instynktu płciowego przywiązują początek formacji socjalnych—ale kryty-

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę za kwartał II-gi.

cy polscy nie chcą o tem wiedzieć. I dlatego wróci nie jeden jeszcze Norwid z pod pyłu ich „krytycznego“ kurzu. Jeszcze i Przybyszewski otrzyma ozdobną kartę w dziejach ducha narodowego.

W Monachjum wiosną roku zeszłego święcił tryumfy. Teraz w Berlinie mimo niezapomnianą nienawiść dla wszystkiego co polskie—publiczność niemiecka oklaskuje jego „Złote Runo“ i zmusza reżysera do interwencji i wyjaśnienia, że autora nie ma w teatrze. Karol Vogt, reżyser reinhardowskiej „Kammerspiele“ wysłał natychmiast telegram do Przybyszewskiego z zawiadomieniem o sukcesie. Prasa całego świata zanotowała to powodzenie polskiego dramaturga.

Kiedyż scena warszawska wyśtawi jego „Topiel“? Przecież już od kilku miesięcy leży ten dramat w biurku dyrekcyjnym!

Przegląd polityczny.

W Chinach zbuntowali się żołnierze. Bunt ten wywołał wiele komentarzy. Nawet notowano zniżkę na giełdzie. Sądzone, że chodzi znów o sympatje monarchiczne. Sprawa jednak wygląda inaczej. Zbuntowali się republikańscy obywatele-żołnierze, bo rząd zalegał w wypłacie czynszów. Nawet majątek prezydenta użyty na wypłaty nie złagodził buntu. Po kilku jednak dniach wszystko przyszło do normy.

W parlamencie rzeszy niemieckiej odbyły się ponowne wybory. Jest bowiem przewidziana ustawa konstytucji niemieckiej, że po prowizorycznym prezydjum, które trwa dotąd, dopokąd wszystkie wybory zostaną zalegalizowane, parlament wybiera ponownie prezydjum. Z wyborów do prezydjum tymczasowego przeszli Kaempf, jako prezes, Scheidemann, jako wiceprezes pierwszy i Dore, wiceprezes drugi. Wybór ten napisał wiele krwi obszarownikom niemieckim, gdyż o mały figiel nie przeprowadził kandydatów socjalistycznych, którzy, jeżeli nie przeszli, to zawdzięczają to dziwnej polityce Koła polskiego.—Przy wyborach decydujących nie przeszedł już



Posiedzenie przywódców i delegatów olbrzymiego strejku w Anglii.

żaden z socjalistów. Kaempf pozostał prezesem, Paasche zajął fotel pierwszego wiceprezesa, Dore powtórnie drugą wiceprezesurę. Rezultat ten wywołał wielką sensację. Prezydentura parlamentu znajduje się obecnie w rękach umiarkowano-postępowych żywiółów. Koło polskie głosowało tylko przy wyborach na prezesa. Od głosowań nad wiceprezydenturą wstrzymało się. Kaempf otrzymał 198 głosów, przeciw 187. Paasche 190 przeciw 155. Dore 209 przeciw 157.

W Bułgarii jest proklamowana reforma wyborcza. A więc

jednak pewne, że rząd austriacki musi zwrócić uwagę na potrzeby tubylczej ludności, która ostatnimi czasy wydała chlubę sztuki współczesnej Josipa Kosora.

Strejk górników angielskich wywołuje już echa w Niemczech i Austrii. Z kolonji donoszą, że wybuchnięcie strejku górniczego jest rzeczą nieuniknioną. Trzy organizacje robotnicze: socjaliści, hirszdunkierzy i polskie zjednoczenie zawodowe uchwaliły 507 głosami przeciw 74 proklamowanie strejku. W Austrii zaś z Morawskiej Ostrawy donoszą, że nieustannie odbywają się wiece w sprawie podwyżki płacy. Przeszła rezolucja wstrzymania przesyłki węgla do Anglii.

Telegramy ze Skutari twierdzą, że jeżeli włosi zjawią się w jej okolicach, to mieszkańcy rozpoczną rzeź chrześcijan. Pałac arcybiskupa i domy zamieszkałe przez chrześcijan są zabarykadowane.

Podobno dotychczasowy minister wojny austriacki jener. Auffenberg podaje się do dymisji. Na jego miejscu wymieniają nazwisko jener. Kroatina.



Jan Kaempf,
prezes parlamentu niemieckiego.

system proporcjonalny wejdzie już niezadługo w życie w „sobranju“ Sofijskiem.

Z Zagrzebia przychodzą wieści o coraz nowych manifestacjach. Znów przeszło 3000 studentów śpiewało pieśni narodowe. Jakie będą wyniki tych manifestacji niewiadomo. Jest

Znaj Pana!

Autor „Podfilipskiego“ wydał zbiorek nowel, które napewno znajdą wiele pięknych czytelników, no i czytelników. Weyssenhoff przecież obecnie jest pisarzem arystokratycznego świa-

ta, poetą herbów, satyrykiem wszystkiego, co nie nosi w sobie czystej, rasowej nobliwości. Świat stary, świat miniony ma w nim wiernego syna. Kto więc chce pomówić z tym dawnym światem, kto chce wskrzesić w sobie przypomnienie o swoich dziadach i pradziadach, niech czyta książki Weyssenhoffa.

Ostatni zbiorek nowel nie przynosi artystycznie nic nowego. Wiemy bowiem już doskonale, że Weyssenhoff jest mistrzem słowa, że czuje krajobraz polski, że widzi swoich ludzi plastycznie, wyraźnie. Skupiona jego proza nawet wrogów zmusiła do uznania maestrji. Stosunkowo najlepszą pracą w ostatnim zbiorze jest nowela naczelna „Znaj Pana”. Podchwycił w niej autor nadzwyczaj subtelnie ambicję hr. Odwagi—Konopackiego.

Przyjechał sobie ten polski pan pobawić się do Paryża, ani myśli o żadnych celach, pracach społecznych. Żyje w nim, co prawda, przez atawizm miłość dla polskich pól i borów, dla szarego tłumu z którym od wieków ciągnie taczkę zlej i dobrej doli... Ale to tylko sentymenty, które omija się skrzętnie. Lepiej pobawić się w Pa-



Józef Weyssenhoff.

ryżu, odpocząć po „pracy” na zagonach ojczystych, wchłonąć wrażeń bez liku, by później można było przypomnieniem krasić sobie nudę wiejskich wieczorów. Aż oto zjawia się do hotelu p. Marchońt. Postać nudnie uspołeczniona, typowa „piła” dobroczynnie-humanitarna. Przychodzi poprosić o dateki i o wstawiennictwo do hrabiego X, który jest odporny na wszel-

kie kwesty, sprawy społeczne. Hrabia Odwaga zgodził się i zdecydował pójść do tego odpornego hr. X. Aczkolwiek Hrabia X niechętnie przyrzekł zając się sprawą, Odwaga wyszedł zadowolony i myśleć zaczął o „uczciwej” zabawie w Paryżu. Przecież jeszcze nie zdążył oprócz wyścigów nic zobaczyć. Zapraszała go panna Bertha na obiad, a więc trzeba by skorzystał z wyczasów. Lecz oto fatalnie się składa. Tylko zdążył zjechać windą na dół, p. Marchońt zjawia się z interesem. Nie wypada nie pomówić z działaczem takim, jak szanowny „nudziarz” społeczny. Przechodzą więc do biblioteczki i hrabia Odwaga komunikuje Marchońtowi wynik swojej misji. W duszy śmieją mu się raje, udało się zainteresować skapca, uratować własną kieszeń i tak w tym roku lżejszą, niż zwykle, gdyż nie dopisały buraki. Wtem jednak wchodzi posłaniec i wręcza list hrabiemu. Stary sknera raczył przysłać na cel tylko sto franków, gdy hr. Odwaga nadmienił mu o czterech tysiącach, co jest drobnostką dla milionera kutwy. Hrabia Odwaga czuł się tym osobiście obrażony. Zawrzała w nim krew i zdecydował się odeśłać te „haniebne” sto franków. Wyjął z pugilaresu żądane cztery tysiące, polecił, by o tym zawiadomiono ogół i pomyślał: niech zna Pana, ten, no ten Granowski!

Nie śmiały się już do niego latarnie uliczne, ani nęciły piękne, przechodzące kobiety. Skupił się hrabia w sobie i przypomniał swoją ziemię, swój lud.

Udało się Weyssenhoffowi w tej noweli pochwyć psychologiczną bogacza, co tylko przez urażoną ambicję rzucił pieniądze na cel publiczny. Ach, gdyby częściej można było urazić ich ambicję w tym kierunku!

Drugą piękną nowelą jest małeńki szkic o dwóch sumieniach. Bunt młodej, sprzedanej duszy woła tu słodkim milczeniem ust rzeźbionych wiekami przez dobór. Scena p. Elzy z chłopem jest bajeczną wizją. Już dla tej pięknej pani Elzy czytelnik powinien zbior najnowszych nowel Weyssenhoffa przeczytać.

E. C.

Józef Kuć.

W klinice krakowskiej zmarł głośny swego czasu przywódca strejku kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, Józef Kuć. Zmarły z pochodzenia był synem chłopca. Odnaczał się wielkimi zdolnościami politycznymi, które to przeszkadzały mu przez lat wiele w ukończeniu rozpoczętych



Józef Kuć

zmarł w Krakowie. Przywódca wielkiego strejku na kolei Warsz. Wied.

studjów medycznych. I dopiero na tułactwie, na wygnaniu narzeczcie je ukończył w 40 roku życia. Popularność Kucia wśród młodzieży i robotników była tak wielka, że wystarczało jedno uderzenie w stół, by... koleje nie poszły w ruch.

Pozostał Kuć do końca życia wierny swoim proletarjackim idealom. Namiętny agitator, o drewnianej nodze zdążył zwiedzić stepy astrachańskie; nie sarkał nigdy na zły lub—dobry los. Wierzył naiwnie i gorąco w Marxiizm, co wykluczało wszelką z nim dyskusję. Wiara jego piękną była, choć z wielkim sceptycyzmem należało się na nią pod wieloma względami zapatrywać.

Lepiej jednak mieć takich obywateli, niż patrzeć na nicosie karierowiczów lub dusigroszów. Tacy pozostawiają po sobie trwałe ślady. Nie zginie też praca Kucia z historii budzenia się proletariatu polskiego.

9000 tysięcy odszkodowania za piosnkę.

Jedna z firm gramofonowych wystąpiła z powództwem przeciw prymadonnie naszej operetki pannie Messalównie, o 9000 rb. za... piosnkę. Messalówna bowiem

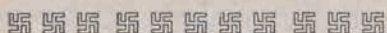
miała „naśpiewać“ płytę gramofonową dla tejże firmy, a tymczasem „naśpiewała“ płytę dla innego jakiegoś towarzystwa konkurencyjnego. To też firma, która miała umowę z kapryśną primadonną, wytoczyła jej proces o odszkodowanie. Stąd nauka—nie należy zbyt wierzycie pięknej a szczególnie jeżeli ta pieć jest bardzo piękna, a sympatyczna panna Messalówna przecież nietylko ucho nasze lecz i oko pieści.

Radzimy pokrzywdzonej firmie gramofonowej, niech naśpiewa teraz na jedną ze swych płyt piosnkę: „Kobiety zmienne są...“



L. MESSALÓWNA
primadonna operetki.

(Tow. gramofonów żąda 9000 rb. odszkodowania, że nie „naśpiewała“ płyty).



Popis Koła gimnastycznego.

W ubiegłą niedzielę w sali gimnastycznej d-ra Fiszera, przy ul. Smolnej № 30, odbył się doroczny popis członków Koła gimnastycznego przy Stowarzyszeniu Handlowców m. Warszawy. Popis, dzięki doskonałemu kierownictwu znanego mistrza gimnastyki p. Szczepkowskiego i—wytroczonym siłom, złożonym z poszczególnych członków Koła, udał się doskonale. Wogóle popis stwierdził, że dzięki prezesowi p. Ciesielskiemu, który z poświęceniem pracuje dla rozwoju Koła, to ostatnie urzeczywistnia w swem środowisku hasło „w zdrowym ciele—zdrowy duch“.

Praca wyczerpuje siły fizyczne, warunki pracy w ciasnych



Grupa członków, biorących udział w popisie Koła gimnastycznego przy Stowarzyszeniu Handlowców.

biurach, sklepach i t. p. nie są korzystne dla zdrowia, należy też życzyć, by nasze związki zawodowe baczyły pilnie na rozwój fizyczny swych członków a osiągnąć to nie trudno przy odpowiednim umiejętnym zorganizowaniu ćwiczeń gimnastycznych, fechtunku, gier, wybieżek i t. p.

24-godzinny wyścig na wrotkach.

W skating-ringu przy ul. Karowej odbył się wyścig 24-godzinny na wrotkach... sensacja niełada! tłumy też pośpieszyły na to dobrowolne umieszczenie się wrotników. Walczyli nasi przeciw mistrzom z zagranicy. Po 24 godzinach o g. 10-ej m. 23 wieczorem nasi zwyciężyli, przejechawszy przestrzeń 580 kilometrów (mniej więcej 550 wiorst). Zwycięzcami są znani z torów wrotniskowych sportsmeni p.p. Kietliński i Kamiński; II-gą nagrodę zdobyła za-

granica — p.p. Curtis i Nicod, trzecią znów nasi — Gadomski i Kuminek.

Proces intendentów warszawskich.

Epilog rewizji senatora Neuhardta — sprawa intendentów warszawskich, rozgrywa się właśnie przed kratkami sądu wojennego w Warszawie. Na szeregu podsądnych z pośród oficerów i urzędników intendatury, podług aktu oskarżenia ciężą zarzuty łapownictwa, nadużyć, szantażu, niedbalstwa, niesumienności i t. p. Zobaczymy jaki wyrok zapadnie, a zapadnie nie tak prędko, gdyż wielka ilość świadków czeka jeszcze na przesłuchanie.

Bądźco bądź jest to sprawa w swoim rodzaju charakterystyczna. Znane to wszystko było od lat wielu, dopiero los zrządził, że owe „tajemnice“ stały się dziś dopiero bardziej jawne.



24-godzinny wyścig na wrotkach. Uczestnicy wyścigu za chwilę ruszą w uciążliwą podróż... naokoło wrotniska.

Łamigłówka w № 5-ym.

Trafne rozw. łamigłówki w № 5-ym
Zygmunt Krasieński — Nieboska komedia
nadeszła w terminie właściwym
z Warszawy:

A. Białobrzaska, H. Dąbrowski, J. Fałęcki, P. Głuszkiewicz, Hela, Hetmanek, T. Kalinowska, Z. Krausharówna, H. Lindensztatówna, Z. Łapińska, E. Majewski (wiersze), B. Lipskierówna, S. Miarczyński, A. Rajchert, J. Sarnowska, Czesio Słoński, W. Trzebiński, W. Wójcicki i C. Wołodkiewicz.

Rozwiązania zamiejscowe:

Bachmiński (Będzin), J. Borowiec (Ostrowiec), K. Ciemnińska (Janów); L. Czaplinska (Mińsk), P. M. Czudowski (Brześć Litewski), W. Gasparski (Skierniewice), L. Goldman (wiersze) z Łaz, J. Górnicki (Radom), St. Hącia (Kalisz), J. Konopczyński (wiersze) ze Zduńskiej Woli, A. Krelowski (Ostrowiec), W. Król (Kazań), T. M. Kuczyński (wiersze) z Pilawy Podolskiej, Jadwiga Kuleszyna (Niemirów), B. Lenarciński (Brzeźnica), H. Leśniewska Połtawa-Gadiaz, T. Michniewski (Grójec), St. Opęchowska (Winnica), A. Patrzykont (Konin), W. Raczyński (Radom), W. Rutkiewiczowa (Łazy), J. S. Przasnysz, Z. Smolińska (Plock), J. Sokolowski (Boży-Dar—Kowno), J. Szletyński (Łódź), S. Tomaski (Moskwa), B. N. Tworzyński (wiersze) z Sosnowca, M. Wierzbowska (Mińska gub.), L. Wiśniewski (ładna ręczna karta) z Łodzi, Fr. Wiśniewski z Krzywego Koła, W. Zaleska (Pilawa Siedlecka). Nadto otrzymaliśmy jedno rozwiązanie bez podpisu i jedno z inicjałami W. S. ślicznie wierszowane, rozpoczynające się od słów:

„Sen słodki mnie upaja, tuli błoga cisza
Pierwszą postacią dzielną jest rycerz *Zawisza*,
Któremu towarzyszą i konni i piesi,
Przeszli! sen się znów zmienia: otóż
i *Yankesi*. i t. d.

Piękne wiersze, zastosowane do danych znażeń i wyrazów.

P. Tadeusz Marjan Kuczyński z Pilawy podolskiej wierszem mówi:

„Wybaczenie Redakcji Panowie!
Nie w mojej, och! szukać to głowie
Wiersza dla „Wara“ zagadki...
Bo gdy zrymować „Zawisza“ *Yankesi*
i t. d.

P. B. N. Tworzyński z Sosnowca odpowiada nam:



SPRAWA INTENDENTÓW WARSZAWSKICH. Sędziowie na pierwszym planie, dalej przy stole widać jednego z obrońców, za nim — podsądnych.

„Błogosławieństwo i chwala
Polsce, co miała gienjusze
I Krasieńskiego nam dała
I jego wieszczą duszę. i t. d.

P. J. Konopczyński ze Zduńskiej Woli w swej odzie pisze:

Był to rok, w którym mocarz pełen sławy,
Ufny swej gwiazdzie i swojej mocy,
Wiódł pułki zbrojne, hen na bój krwawy
i t. d.

P. S. Goldman z Łaz pisze w udatnym wierszyku:

„W roku bieżącym, gdy sto lat upływa
od Twych urodzin, Zygmuncie drogi,
staje przed nami Twa postać żywa,
i, pokazując ojezyste rozłogi,
pragnie, by wszyscy tutaj zbratani
sercem i duchem pracowali dla Niej...“

P. Erazm Majewski z Warszawy przytacza dzieła w następującym wierszu:

„Panie „Warze“ „Łamigłowo“!
Przyjm odemnie dobre słowo
Za wspomnienie o poecie,
Co go cześć będziemy w lecie:

Dalej przyjm uznania słowa,
Gdyż pracować musi głowa,
By odnaleźć lata owe,
W których życie Zygmuntowe
Dało nam Irydjona i t. d.“

Nagrodę pierwszą, stosownie do wyniku losowania, otrzyma autor wierszy „Sen słodki mnie upaja“ W. S.

Nagrodę drugą p. Erazm Majewski z Warszawy.

Nagrodę trzecią p. J. Konopczyński z Pilawy Podolskiej. Nadto Czesio Słoński, za ładne i rozumowe rozwiązanie, obdarzony zostanie książeczką. Nagrody odbierać można codziennie w redakcji *Złotego Rogu* od 12—3 i od 5—7. Na żądanie, za zwrotem porta, wysłać możemy pocztą.

War.

Do następnego numeru dołączymy, jako dodatek artystyczny, piękną reprodukcję słynnej rzeźby prof. Teodora Rygiara — „Julietty“.

„POMALIN“
najlepsza pasta do obuwia
STANISŁAWA FISZERA
Marszałkowska 63.
Żądać wszędzie.

Inż. Rychłowski, Wehr i S-ka
Biuro Hydro-Techniczne
Firma egzystująca od roku 1894. Wykonała 1056
STUDZIEN ARTEZYJSKICH
i najgłębszy otwór śwird
3838 stóp.
Warszawa, Krucza
telefon 10-24.

Proszę wypróbować najlepsze perfumy i wody kwiatowe w zapachach „Adorable“

„Foreška“

TOWARZYSTWA

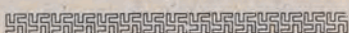
S. J. CZEPELEWIECKI i S. WIE



Kto dba o wartość **Motoru Elektrycznego**, niechaj się z każdą jego niedokładnością uda do Zakładu Elektrycznego

Maksyma Michalskiego

Warszawa Wilcza 13.
Tel. 253-88.



Dr. L. Płużański

Lek. szpit. św. Łazarza. C. skór. i wener. (stos. 606). No Świat 37, tel. 95-65. Od 1 i od 6—8 po poł.

Helena SEIDENMANOV

Lekarz-Dentysta, HOŻA 39, Telefon 14

BIURO i PRZEDSIĘBIORSTWO MELJORACJI ROLNYCH
Inżyniera T. SKORACZEWSKIEGO

WARSZAWA, ul. Mokotowska 59, tel. 252-86.

Filja. Śrem, W. Ks. Poznańskie.

Popierajcie przemysł krajowy **Chromolin** gnera, najlepsza najtańsza pasta obuwia. Wyrób krajowy. **Hegnerol** najtańszy płyn do szczenia wszelkich metali. Wyrób krajowy. Żądać wszędy Fabryka w Warszawie, Ordynacka.

Nadzieje nasze, że Sz. Czytelnicy zechcą polecać „Złoty Róg“ najszerszemu gronu znających, nie zawiodły; sporo przekazów powraca z nowymi prenumeratami. Dołączamy więc i do niniejszego numeru i dołączymy jeszcze do następnego numeru w bieżącym miesiącu, przekazy pocztowe, prosząc o łaskawe rozdanie lub przesłanie takowych znajomym, prenumeratorem zaś, którzy wnieśli przedpłatę dopiero za I kwartał, zechcą jeden przekaz zatrzymać dla siebie w celu odnowienia prenumeraty. (Przekazy dołączone są do wszystkich egzemplarzy dla prenumeratorów z prowincji).

MODA.

SEZON WIOSENNY.

Wkrótce już wkrótce, bo za dni kilka, powitamy wiosnę... kalendarzową, tak często zwo-



Kostjmy wiosenne.

niczą i zmienną, że to aż przeszło w znane przysłowie: „Łaska pańska, gust kobiet, pogody wiosenne“ i t. d. Nie przeszkadza to jednak,

że każda z nas już dzisiaj, rozmyśla nad tem, jakby tę nadchodzącą wiosnę powitać najgodniej— to jest w eleganckim, nowym kostjumie i nie w mniej pięknym kapeluszu... Obecna zmiana sezonu, jest bardzo znamieną, kłopotliwą i kosztowną, bo wymaga zupełnego przeistoczenia tualetowego, choćby przy najskromniejszych budżetowych warunkach. Te z nas, które sprawiły nowy kostjum krawiecki na ubiegłą jesień, mogą śmiało nosić go jeszcze teraz w początku wiosny. Moda zasadniczo nie uległa zbyt wielkim zmianom, rysunek postaci naszych pozostał prawie takim samym, przeistoczono niektóre szczegóły, dodano lub ujęto, bo moda zawsze coś zmienić musi— ale całość jesienna nie razi. Zresztą trochę starszniej ubierająca się osoba, powinna mieć koniecznie dwa krawieckie kostjmy. Jeden— ten właśnie już noszony, drugi zrobiony według ostatnich wzorów sezonowych. Jestem zdania, że jeżeli wogóle w każdej sukni naszej krój poprawny, modelowy, jest najpierwszym warunkiem, to już w kostjumie krawieckim, stanowi całą treść— całą podstawę. Materiał może być tańszy— ale krój i wykończenie muszą być *doskonałe*. Wiosenne kostjmy są trochę dłuższe i trochę szersze—bardzo modne są spódnice całe *zapinane* z przodu na spore guziki, żakiet również trochę dłuższy z długimi i szerokimi wyłogami, spięcie podwójnym rzędem guzików (po 3 z każdej strony). Materiałem zawsze modnym i zawsze ładnym jest sukno—właściwie sukienko (drap de dames). Kolor, to rzecz gustu, ale przeważa czarny, wszystkie paryskie kroniki mód wiosennych, zaczynają się od słów: „*Paris est en noir dans la rue*“, czyli, że Paryż na ulicę ubiera się czarno, to nie przeszkadza, że kostjmy w kolorach popielatym, brązowym, fioletowym, ciemno-zielonym— są i będą noszone.

Marcèle.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie	rb. 4.—	pólr.	rb. 2.—	kwart.	rb. 1.—
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 4.60	„ „	2.30	„ „	1.15
Za granicą i za oceanem	„ „ „ 5.—	„ „	2.50	„ „	1.25
W Austrii i Galicji	„ „ „ 12 kor. 50 h.	„ „	6 kor. 50 h.	„ „	3 kor. 30 h.
Numer pojedynczy	kop. 10 — halerzy 25.		Zmiana adresu— 20 kop.		

Przybývajúcy prenumeratorem otrzymują komplety. Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU“ w Warszawie **Mazowiecka № 5**, wszystkie poważniejsze księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 kop. Reklamy—40 kop. Ogłoszenia na ostatnich kolumnach i na 3 str. okładki 20 kop. Na 4 str. okładki—30 kop.

TREŚĆ. T. Jaroszyński, Teodor Rygier.—Wacław Gąsiorowski, Wojna narodów.—Wiktor Gomulicki, Walc nocnych mgieł.—Władysław Zaleski, I znów stanę przed tobą...—Kazimierz Gliński, Stare lwy.—Zbrodnie.—Wystawa G. Pillatiego.—Jubileusz prof. Rygiera.—Z muzyki.—Teatr. Obłędnie Warszawy.—Szkoly dla dzieci tramwajarzy.—„Złote Runo“ w Berlinie.—Przegląd polityczny.—Znaj Pana!—Józef Kuć.—9000 tysięcy odszkodowania za piosnkę.—Popis Koła gimnastycznego.—24-godzinny wyścig na wrotkach.—Proces intendentów warszawskich.—Moda.

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Walenty Zieliński**. Sekretarz **Eustachy Czekalski**.